

Dziennik pokładowy z lotu nad miastem z Anną Marią Musz

W 2011 roku dotarł do mnie tomik pt. *Odrastamy z kamienia* Anny Marii Musz, młodziutkiej poetki z Trzebnicy, który – jak się okazało – był kolejną jej książką, debiutowała mianowicie dwa lata wcześniej (*Errata do trzech wymiarów*). Wracalam kilkakrotnie do tych wierszy, niezmiennie będąc pod wrażeniem. Nowsze teksty (wiersze, ale także artykuły i recenzje) autorka publikowała w prasie literackiej i na portalach internetowych, natomiast w 2016 ukazały się kolejne tomiki – polsko-bułgarskie *Inkantacje* (głównie wiersze z poprzednich książek) oraz najnowszy, przepięknie zilustrowany przez Annę Marię Rusinek, *Lot nad miastem*.

Upraszczając – już podział książki, uszeregowanie wierszy (w dwie części: *Miasto* i *Lot*) odzwierciedla i jednocześnie przygotowuje nas na pozycje, z których poetka rejestruje świat: socjologiczną i psychologiczną. Zaczynamy bowiem podróż od planu ogólnego (miasto), powoli przemieszczamy się w stronę jednostki, świata jej interakcji i relacji (lot), aż wreszcie stajemy się świadkami niemal intymnej poetyckiej rozmowy. Mocno upraszczając. Bo mechanika tego oglądu jest znacznie bardziej skomplikowana, a lektura – par excellence – zgodnie z sugestią wywiedzionego z najśłynniejszego obrazu Chagalla tytułu: z każdym wierszem uwalnia bogactwo niuansów, przez coraz to nowe widoki i perspektywy.

Jedną z tych perspektyw, kategorią spinającą początkowe wiersze jest zwątpienie, wraz z nim prosta teza: świata nie uda się poznać. „Zwijając mapy szukaj starych składników / szerokich bruzd zastarzałych przetarć / one są jak blizny głębokie i białe / ale bez nich nic się nie złoży// (...) dawni żeglarze wiedzieli / że czasem nie płynie się za horyzont / bo tam kończy się papier Wielka Karta Podróży / dlatego nie odpływając daleko wymyślali historie / o bardzo odległych brzegach niebezpiecznych lądów // my też jesteśmy na mapie też z niej nie wrócimy / przepiszą nas we wszystkie następne atlasy / spójrz płyną po nas skruszałe żaglowce/ nic więcej się już nie zdarzy”[*Rekurencje*]. Świata nie uda się poznać, ale bez pretensji o niedosyt brniemy w niego, a temu błędzeniu towarzyszy przecież światło. Nietypowa realizacja toposu zwątpienia, bowiem droga wskazana przez te wiersze nie prowadzi (jak można przypuszczać) do chaosu, częściej niesie pozytywne przesłanie.

Miasto leży na mapie, ale mapie subiektywnej, tworzonej doświadczeniem tych, co przed nami – ale i naszym, jako kreacja na granicy realnego – ale i wyobrażonego, jako konglomerat murów, domów, ulic, cmentarzy – ale i emocji, oczekiwań, marzeń jego mieszkańców, ich zakorzenienia – ale i zagubienia. Jeśli zajmujemy nowe ziemie, włączamy w ich krwiobieg nie tylko siebie, włączamy wszystko, co przeszłość na nas osadziła. A skoro

tak zagospodarowana przez człowieka przestrzeń żyje przed nim, z nim, bez niego, poza nim i po nim – jest fenomenalnym łącznikiem w czasie pomiędzy świadomością i pamięcią, ale i medium dla tego, co nienazwane, nieuświadomione, a tak ważne dla ciągłości cywilizacji. To nieporównywalnie trwalsze i istotniejsze od ludzkiej pamięci, skoro „zapomną o nich nasze domy książki / mroczne antykwiariaty i jasne muzea / zasklepi się bezboleśnie graniczny horyzont” [*Migracje*]. Gdzie wobec tego w tym zapomnieniu pozytywne przesłanie? „Jestem w części części / miasto jak matrioszka / składa się w domy mieszkania pokoje / ale znam jeszcze mniejsze przestrzenie // między złożonymi dłońmi po chwili / wytwarza się ciepło / to też jakiś światek o nieostrych brzegach / bliższy plamom światła i szmerom w sąsiednim mieszkaniu” [*Silentium diurnum*]. W tym chwilowym mikroświecie, który dostrzec można, kiedy zniży się lot. W czułości. Choć nawet w niej – mimo wrażenia jednorazowości i wyjątkowości – nie jesteśmy wolni od „bazy”, którą tworzy łańcuch pokoleń przed nami. Pisze autorka: „na razie bezimienni lecz nad wszystko wspólni / możemy nigdy więcej nie zdarzyć się światu / mogą w nas nie uwierzyć // (...) całkiem możliwe że jesteśmy wszędzie / wczoraj widziałam / wyszliśmy z kościoła / ze starych malowideł” [*Możemy nigdy więcej nie zdarzyć się światu*]. I my stanowimy część łańcucha, zanim miniemy, dołożymy się do całości, a „z braku miejsca tworzymy nowe wynalazki / cmentarze kładziemy warstwowo / domy ciągniemy w górę” [*Terra incognita*]. Anna Maria zaprasza nas do swoistego „lustrzanego solipsyzmu” – może lepsze określenie: „solipsyzmu zwrotnego”? Bo co tu właściwie jest realne? Świat jest tym, co tworzymy – i co nas tworzy, co przeżywamy – i co nas przeżywa. Zdarzamy się światu jako jego sen – i tak samo on zdarza się nam. Nawet jeśli przyznajemy przestrzeni i czasowi status konkretnych wymiarów – to widocznie dzielą się one jeszcze inaczej niż na metry czy sekundy. Czy to na pewno – jak zapowiadałam – pozytywne przesłanie? Na tych rozważaniach nie kończy się książka, kolejne wiersze są zaproszeniem do szukania przez własne światy – światów innego człowieka. Jego śnienia świata. Również po omacku i bez pewności. Nie szkodzi. „Chyba nie istniejemy / dlatego wszelka zbieżność z sytuacjami rzeczywistymi / może być jedynie przypadkowa // (...) w co teraz nie uwierzysz nigdy już nie wróci / więc możesz nawet nie istnieć ale w takim razie / modłę się o tę samą formę nieistnienia” [*Interiory*].

Izabela Fietkiewicz-Paszek

29 czerwca 2017

Elewator, 21 (3/2017)